

Pismo to wychodzi
trzy razy w tydzień
to jest: w Ponie-
dzialek, Środę i
Piątek, o drugiej
po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36śé
Nrów wynosi Złp.
6 i przyjmuje się w
księgarni Czecha,
w handlach Rocha
i Schreïbera.

PIĄTER 5 PAŹDZIERNIKA

N^{BR} 15.

1838 Roku.

ALGIERCZYK W DOMU INWALIDÓW. S FRANCUZKIEGO.

W ostatnim boju francuzkiéj armii z wojskiem Abd-el-Kadera, pewien żołnierz algierski, był tak ciężko ranionym, iż do służby wojskowej na zawsze niezdatnym został. Nieszczęśliwy kaléka ten widział przeto przerwany cały zawód swojego życia; niemarzył on wprawdzie, podobnie jak Jussuf-bej o złotych epoletach, jednakże niespodziéwał się, aby przy schyłku dni zebrać miał kawałka chleba u swoich ziomeków; taki bowiem los czekał niegdyś pod dejem wszystkich w służbie zestarzałych i do boju niezdatnych ludzi. Algierczyk ten był walecznym i zlorzeczył kuli, która go ugodziła, nie dla tego, że był ranionym, ale że niepoległ od niej na miejscu. Gdy cokolwiek przyszedł do zdrowia, rzekł do niego pułko-

wnik: «Popłyniesz do Francyi, gdzie w domu, który na ciebie czeka, nienajgorsze będziesz miał utrzymanie.» — Algierczyk wzdrygnął się na te słowa: «Do Francyi!» odmruknął; «ja, który jeździłem na ognistym rumaku, z szablą w ręku na szerokich płaszczyznach gromiłem nieprzyjaciela, spędzał nocy pod niebem gwiazdami zasianém, ja miałbym iść do Francyi, by sprzedawać migdały i wonne świeczki na bazarze!» — Jednakże umilkł, i powziął stały zamysł. Płynąc z Algieru do Francyi, postanowił rzucić się w morze. — Będąc uleczonym zupełnie, został odesłanym na pokład, a pułkownik polecił go względem kapitana okrętu. Byłoto późnej jesieni, w której najpiękniejsza panowała pogoda; zdawało się, iż samo niebo Algieru i Oranu sprzyja biednemu wychodźcy, by go nieprzywiesić do rozpaczcy. Założywszy na krzyż pod siebie nogi, i trzy-

mając w ustach długą fajkę, siedział na pokładzie i zupodobaniem patrzył na wonny widokrag, po którym przemkły rokoszne wyspy Majorka i Minorka; nareście rzekł sam do siebie: «Teraz jeszcze nieczas, później rzucę się w morze!» — Gdy przybył do Marsylii, wsadzono go na dyliżans jadący do Paryża; w tym powozie miał osobne siedzenie i wszelką wygodę; mógł palić fajkę tak długo, jak się mu tylko podobalo, i tym sposobem dostał się do stolicy, niewiedząc bynajmniej, co go właściwie u kresu tej podróży czekało. Przybywszy na miejsce, zaprowadzono go najprzód do ministryum wojny. Tam doręczono mu wstępną kartę do domu inwalidów i przydano wysłużonego żołnierza spoleczeniem, aby go zaprowadził na miejsce przeznaczenia. — Biedny Algierczyk był bardzo stroskanym przechodząc wśród Paryża: «Cóżto za długie i posępne ulice! jaki zgiełk, jaka kurzawa! Co za pochmurne niebo! Któreżto dla mnie przeznaczone więzienie?» Tak dumiał nad swym losem, nareście rzekł: «Bóg jest wielkim! ale Paryż szkaradnym miastem!» — Po niejakiem czasie,

przyszedłszy na szeroki plac inwalidów, stanął przed ogromnym, spaniałym gmachem. Zauważył się i zadrżał na całym ciecie. Kassuba, pomyślał sobie, w porównaniu s tym pałacem, niejest, jak tylko bezecną stajnią. «Czyżżeto pałac, zapewne francuzkiego sultana?» — «To jest twój pałac,» odrzekł towarzyszący mu inwalid; «wnijdź do niego.» — Algierczyk pomyślał sobie, że inwalid drwi z niego, wszelako wszedł do pałacu, a tam go zaprowadzono do wielkiej sali. — «Cóż będziesz jadł i pił bracie?» — Algierczyk przebaknął zmieszany: «Jaja i kawę. «Przyniesiono jaja i kawę. — «A teraz, czegobyś jeszcze sobie życzył?» — «Palić fajkę i przejść się po tym pałacu.» — «Pal fajkę i przechadzaj się podług woli. A teraz, czegóż chcesz jeszcze?» — «Położyć się spać.» — «Oto masz dobre łóżko, połóż się.» — Gdy się przebudził, zapytano go znowu, ażali się mu jeść niechce. Algierczyk zjadł porządny obiad. Po obiedzie zapytano go, ażali zadowolony z swego losu. — Algierczyk odrzekł: «Pójdę się modlić do Stwórcy wszystkich istot; powiedzcie, s której strony

wschodzi tu słońce? — «Oto jest wschód; idź i módl się swoim sposobem. Niedługo wprawdzie w tej porze przyświeca nam słońce, jednakże użyj i tej reszty podług swego upodobania.» — Inwalidowie oddalili się, by mu nieprzeszkadzać w modlitwie. Algierczyk, zwyczajem narodów wschodnich, rzucił się na twarz w sali i modlił się z największą skruchą. Po skończonem nabożeństwie, zapytał strwożą, jaki go los czeka nazajutrz. — «Jutro będziesz to samo robił, coś robił dnia dzisiejszego, i to samo przez całe swoje życie, choćbyś i sto lat żył na tym świecie. Jakże ci się ten dom podoba, przyjacielu?» — Algierczyk, nieposiadając się z radości, zapytał z zadziwieniem, pomiędzy jakimiżto ludźmi on się właściwie znajduje? — «Pomiędzy żołnierzami takimi, jak ty jesteś. I tak, jak tu nas wszystkich widzisz, walczyliśmy po największej części pod Napoleonem: ten odniósł ranę pod Damiettą, a tamten pod St. Jean d'Acree.» — «Ja walczyłem pod Mokta za Francję!» rzekł Algierczyk. — «Więc jesteś Francuzem!» zawołali inwalidzi. «Za twoje zdrowie Turczy-

nie! Jesteś naszym towarzyszem! Będziesz z nami żył, postarzejesz się i umrzesz z nami.» — Poczém zaczęli rozpowiadać o wojennych przygodach. Każdy opowiadał swoje przypadki. Algierczyk, za pomocą jestów i francuzczyzny, której cokolwiek we francuzkiej służbie zachwycił, opisywał sposób walczenia Beduinów. Mówił jak zwinnie dosiadają rumaka, jak szerokie, białe noszą burnusy, w które osłonieni, wyglądają jak duchy pośród puszczy z obłoków spadające; opowiadał do jakiego stopnia są wytrwali, że garść migdałów dostateczną jest do zaspokojenia na cały dzień ich głodu; opisywał ich napój pośród skwaru ochładzający, a tym jest jeden łyk słonej wody; ich zabawy, a te są w krótkim nabożeństwie; ich łoże, a tém jest piasek puszczy; ich nadzieję, a nią jest — ich niebo! — Nowi towarzysze, tém opowiadaniem zachwyceni, uściskali go i obchodzili uroczyście jego przybycie. Turczyn przez cały wieczór upajał się radością, zadowoleniem, a może nawet i czém innym, pomimo zakazu proroka. Pożno w nocy zaniesiono go do łóżka, gdzie najpiękniejsze sny

ujęły go w swoje objęcie. — Po upływie dni kilku dowiadywał się, jakiżto święty człowiek wystawił ten pałac gościnności, który zapewne przez dobroczynność bogobojnych ludzi tak spaniale jest utrzymywany. Z wielką trudnością dano mu do poznania, iż właśnie we Francyi niemasz tyle bogobojnych, którzyby dla ludzkości podobne jak dom inwalidów wystawiali schronienie. — «Zapewne więc król francuzki założył ten dom spaniały?» zapytał dalej, «skądże ma utrzymywanie?» — «Żołnierze łożą na utrzymanie jego i na wszelkie wydatki. Z żołdu, który rząd wypłaca, odciągają im niejaką szczupłą kwotę, która dostateczną jest do zaopatrzenia wszystkich inwalidów w odzież, ogrody, dobre jadlo, a nawet wino bordejskie. Jeden *sous* od każdego francuzkiego żołnierza wystarczył na założenie, i wystarcza na utrzymanie tego instytutu.» — Mieszkańcy Wschodu przyzwyczajeni są do rozwagi; po krótkim namyśle pojął Algierczyk, jakich środków używają i jakimi ofiarami skłaniają się ludzie ucivilizowani, do skutecznienia dobroczynnych zamiarów. Pe-

wnego dnia ujrzał na własne oczy przykład podobnego poświęcenia się, gdy jeden z jego towarzyszków chorobą złożony, zanieśionym był do szpitalu. Zamyśliwszy odwiedzić go, ubolewał serdecznie, iż przy łożu jego niezastanie ani żony, ani dzieci, któreby go pocieszać i pielęgnować mogły. Ale jakże się zdziwił, gdy przyszedłszy do swego przyjaciela, ujrzał przy nim trzy niewiasty, które s tkliwością i bogobojnym politowaniem zajmowały się uśmierzaniem jego boleści. Jednej z nich pytał, ażali niejest jego matką; drugiej, ażali niejest jego małżonką, a trzecią i najmłodszą mniemał być jego córką. — «Żadna z nas niezna twojego przyjaciela;» odrzekły zakonnice. — «A dla czegoż go pielęgnujecie?» zapytał Algierczyk s ciekawością. — «Ponieważ taki jest rozkaz boski;» odpowiedziały z skromnością. — «Rozkaz boski? tak, Bóg jest wielki!» odrzekł Algierczyk zdjęty podziwieniem; «zato też w niebie dostaniecie za mężów tak pięknych mężczyzn, o jakich wam się ledwie przyśnić mogło.» — Siostry miłosierdzia zarumieniły się usłyszawszy tę grzeczność; jedna

tylko, najstarsza z nich, miała tyle śmiałości, iż w ten sposób odrzekła: «Jedyna nagroda, której się spodziewamy, jest ta, że będziemy mogły w niebie chwalić Pana Zastępów i radować się obliczem jego.» — Algierczyk milczał. Waleczny przyjaciel jego uśmiechnął się i objaśnił mu pokalęczoną arabszczyzną, której się w egipskiej wyprawie nauczył, że siostry miłosierdzia, przywdziawszy szatę zakonną, złożyły niebu śluby wiecznej czystości. — Algierczyk na żaden sposób niémógł pojąć tak wielkiej ofiary. — «Jakże, lepiej ci teraz?» zapytała najmłodsza zakonnica chorego inwalida; «czy niechciałbyś napić się czego?» — «Niémam pragnienia, ale, jeżeli wolno, prosiłbym szanowną siostrę o jedną łaskę.» — «Powiedz,» odrzekły wszystkie trzy skwapliwie. — «Już od kilku dni niepalę fajki, czuję niemoc w całym ciele; życzylibym sobie przynajmniej oddychać dymem tytoniu. Pozwólcie memu towarzyszowi, niech usiedzie przy mnie na łóżku i pali fajkę, a dym z niej będzie dla mnie bardzo posilnym.» — «Jedna z sióstr miłosierdzia pobiegła natychmiast i

przyniosła fajkę, tytoń i ogień i prosiła Algierczyka, aby palił fajkę. Ten nie dał się długo prosić i z wielką gorliwością wykonał życzenie swego przyjaciela. Był to rozrzewniający widok, patrząc przy łożu chorego na siostry zakonne i Algierczyka, który założywszy spowagą na krzyż pod siebie nogi, usiadł na dywanie, i uroczyście ciągnąc dym s fajki, całą salę nim napelniał. Stary inwalid wciągał w siebie z wielką rokoszą ten balsam zbawienny, a marszczkami zradłona twarz jego, w krótkim czasie zakryta została rozdętymi kłębami dymu. Turczyn był surowej twarzy i uroczyście, jakby modlitwę odmawiał, i staką gorliwością dymem s fajki buchał, jak gdyby nim swojego przyjaciela od śmierci wybawić zamierzył. — Odtąd ubiegło już kilka miesięcy jak Algierczyk w domu inwalidów zostając, ma się za najszcześniejszego ze wszystkich ludzi od Wschodu do Zachodu, nawet emirów i sultanów niewylączając. Codziennie wypala dwanaście fajek, a jeżeli piękna pogoda sprzyja, pije kawę w chłodniku ogrodowym; wychodzi kiedy się mu podoba, powraca na obiad i wieszerzę;

uprawia ogródek spólnie z swym towarzyszem, niemającym tylko jedną nogę i rękę. Żony i dzieci żonatyich inwalidów, przyszedłszy w niedzielę lub w tygodniu na odwiedzinę, życzą sobie zawsze widzieć Turczyzna, i zawsze mu jakiś podarunek przyniosą, bądź piękny bukiet kwiatów, bądź paczkę tytoniu i zawsze proszą go, aby w ich obecności palił fajkę; słowem, nie masz nikogo, któryby mu nie sprzyjał; lecz on jest bogobojnym i przypisuje to wszystko Bogu, i każdego wieczora, obróciwszy się ku wschodowi, odmawia w swęj modlitwie: —
»Dziękuję ci, mój Boże! dziękuję za tę ranę, którą odniosłem w bitwie pod Mokta!»

—❖❖❖—

W A S I L E K.

BALLADA.

Poranne słońce na wioskę blask roni,
Dokoła złoci się zboże,
I żółte fale płyną po błoni,
Jak płyną fale przez morze.
Szczęśliwa wioska! szczęśliwe zagony!
Trzecia tu jesień s kolei,
Najświeźsze łąki, najbujniéjsze plony,
Wraca rolników nadziei.
Widzisz tę miedzę, co zagon pszenicy
Zielonym przerzyna paskiem?

Daléj dwie kładki leżą na krynicy,
Za nią mogilnik pod łaskiem?
Wiédz, że tę miedzę, mogilnik i kładki,
Wioska jak święte poważa,
Sponad krynicy dziewczęta rwą kwiatki
Na równianki do Ółtarza.
A kto obdarzył biédnego pielgrzyma,
Siérotę przyjął w gospodę,
Wzięty stéj miedzy bławatek otrzyma
Od całej wioski w nagrodę.
Bo trzecia jesień, jak w ranną chwilę,
Przebiegłszy między téj paskiem,
I po tych kładkach; na matki mogile,
Płakał Wasilek pod łaskiem.
„Niedobraś mamó! dawniéj bywało
Chęć mą umiałaś zgadywać,
Dziś cię tak długo twe dziecię wołało,
Niechciałaś mu się odzywać.
Pukałem do drzwi twéj kamiennéj cha-
(tki,

Daremne łyzy i wołanie.
Milczysz, a mnie tu tak smutno bez ma-
(tki,

A mnie już i lez niestanie!
Ciebie niestało, wszystkiego niestawa,
Bo s tobą moje wesele.
Niosą mi strawę; do czegoż mi strawa,
Kiedy jęj s tobą nie dzielę.
Niosą mi cacki; na cóż mi te cacki,
Cóż w nich miłego zobaczę,
Ciebie niewidząc. Wziąłem strój że-
(bracki,

W żebrackim stroju tu płacę;
Bo odzież, jaką obaczyłem w chacie,
Wyniosłem, siadłem na progu;
Przyszli ubodzy: Weźcie, wszystko
(macie,

Polecajcie mamę Bogu.
Biédni sąsiedzi, weźcie nasze zboże,
Ah! mam kapotkę, wspaniałem,

A i to mamy duszeczce pomoże,
 Na Mszę dla Księdza oddałem.
 Potém poszedłem do naszej obory:
 Trzódko! do czegoż cię chować;
 Odparłem wrota—Bieźcie krówki w bo-
 (ry,
 Niema was komu pilnować.
 Ojczemój, matko! wygdzieś obok siebie
 Latacie skrzydłem motylka.
 Ah! jak tam dobrze musi być w tém
 (Niebie,
 Weźcie do siebie Wasilka;
 Tak się żyć niechce. Ah! z życia prze-
 (włoką,
 Dla siórot y nędza sama,
 Pan mój daleko, Pan Bóg mój wysoko,
 Druga nieznajdzie się mama.
 Smutno mi, smutno; wy twardo śpicie,
 A ja tu wołam co chwilka,
 O matko! ojeze! przytulcie swe dziecię,
 Weźcie do siebie Wasilka!“
 Kłęk na grobie, rączki w górze trzyma,
 I milezy i lzy niebiegą;
 Tylko u Nieba pytał się oczyma,
 Czy wysłuchało prósb jego.
 A przez to Niebo, jak mgła przez jezioro,
 Białe się chmurki ciągnęły,
 I w oddaleniu znikwały nieskoro,
 I nowe jak dym płynęły.
 Lecz jedna chmurka samotna i blada
 Niepłynie razem z innemi;
 I coraz niżej na powietrzu siada,
 I coraz bliżej do ziemi.
 Scichł wietrzyk, nieśmię blasku wód
 (zatrzcć,
 I liści ustało drzenie,
 Zdaje się na to umilkł świat, by patrzćć,
 Na osobliwsze zjawienie.
 Oto na chmurze było dwóch gołąbków,
 Białych jak księżycy promyk,

Skrzydła miały s promienistych rąb-
 (ków,
 Nad niemi drzał siny płomyk.
 Wzleciały, siadły na dziecka ramieniu,
 Woń miłszą wytechnęły kwiaty,
 Słyszał Wasilek w gołąbków gorleniu
 Głos swojej mamy i taty.
 „Wasilku! cnotę Bóg hojnie zapłaci;
 Patrz, niepoznasz ojca, mamy,
 Taki blask bije z ich nowych postaci,
 Kłopotów ziemskich nieznamy.
 Nad dolą naszą niema szczęśliwszój,
 Dom nasz na niebios błękitcie,
 Czém u was chwila roskoszy najżywszój,
 Tém u nas cale jest życie.
 Jako my teraz, zmieniś się w gołąbka,
 I będziesz Raju ozdobą,
 Z róży na różę, od dąbka do dąbka
 Lećmy z sobą, zawsze z sobą!“
 Jakoż się w chwili ziścił wyrok Boski,
 Wasilek ginął i ginął;
 Z główki tak małej jak orzech włoski,
 Różowy dzióbek wypłynął;
 Gdzie dwoje oczu, blysły dwa światel-
 (ka,
 Piersi usrębrzył puch biały,
 Z ramion promienne strzeliły skrzydeł-
 (ka,
 I trzy gołąbki wzleciały.
 Widzi to pastérz z bliskiego ugoru,
 I z oznajmieniem wnet bieży;
 Na ten cud zeszli ze wsi i ze dworu,
 Znaleźli resztki odzieży.
 A gdzie kolanem wcisnął grób głęboko,
 Wyrósł (dotychczas nieznamy)
 Kwiatek błękitny jak u Egli oko,
 Podwójnie u nas nazwany.
 My go bławatkiem, gmin wasilkiem zo-
 (wie,
 My dla barwy, gmin s powieści,

Chętnie on wiejskiej zakwita dobrowie,
I wieśniaczek oczy pieści.

Starce, dziewczęta, i prostszy gmin lu-
(du,

Wierzą w powieść pastérzową,

Kto ślepém sercem niewidział w tém
(cudu,

Wznosił ramiona, trząsł głową.

To jednak pewna, że od tego czasu,

Wsi téj nierzuca stan błogi;

Zawsze tam zboża podobne do lasu,

I na łąkach jak mur stogi.

—ooooooo—

DZIWAČNE ZWYCZAJE NIEKTÓRYCH KOMPOZYTORÓW.

Muzukę do «Dwóch Ifigenij,»
»Zalów Orfeusza» i «Miłości Pa-
rysa,» pisał Gluck pod gołém nie-
bem na łące, wystawiony na pro-
mienie słoneczne, mając przed
sobą fortepian, a obok dwie bu-
telki szampana. Sarp i zaś nie-
mógł komponować jak tylko śród
nocnej ciszy, w wielkim, pró-
żnym, posępnym i jedną lampą
słabo oświetlonym pokoju. Sal-
leri z olówkiem i pularesem w rę-
ku biegł po najludniejszych uli-
cach, zjadał cukierki i tym spo-
sobem szukał do swych kompo-
zycyji pomysłów. Paer, żartując
ze swymi przyjaciółmi, karcąc
swe dzieci, roskazując służącym,

kłóćąc się z żoną lub kucharką,
albo głaszcząc psa swego, wy-
léwał na papier najspanialsze
swe myśli. Cimarosa lubiał ha-
łas, komponując otaczał się za-
wsze przyjaciółmi. Sacchini nie-
mógł komponować tylko wobe-
ności swojej kochanki i piesz-
cząc się przyjemną swą kote-
czką. Paësiello pisał wszystkie
swoje kompozycye w łóźku. Zin-
garelli zagrzewał się do kompo-
zycyji czytaniem Ojców Świętych,
albo jakiego klasyka łacińskiego.
Aufossi niemógł ani jednej na-
pisać nóty, jeżeli przed nim nie-
stał kapłon, kielbasa, szynka albo
jaka potrawka. Hayden siedział
spokojnie w poręczowym krześle,
podezas gdy wzniosły umysł jego,
podnosząc się w niebo, podslu-
chiwał tonów, jakimi aniołowie
śpiwają.

R O W A L.

Pewien kowal, mieszkający
w Grinel, w Anglii, miał ośm żon,
które wszystkie pomarły, i zamy-
ślił z dziewiątą się ożenić. Zapyta-
ny dla czego tak często się żeni,
odrzekł: «Kuję sobie zawczasu
gwoździe do mojej trumny.»